Nr. 35. 29. Października 1860.

Wychodzi we Lwowie w trzech arkuszach co Wtorek. Prenumerata: z przesyłką pocztową całorocz. 10 zł., półr. 5 zł., kwart. 2½ zł. We Lwowie całorocz. 9 zł., półr. 4½ zł., kwart. 2¼ zł., miesięczn. 75 ct. w.a.

KÓŁKO RODZINNE

Miejscową prenumeratę przyjmuje księgarnia Wilda tudzież inseraty po 8 ct. od wiersza za pierwszorazowe umieszczenie, za następne po 4 ct. z dołączeniem stemplowego po 30 ct. Biuro redakcyi: ulica halicka Nr. 157¼.

WOLNE MIASTO BRODY

skreślił

KSIĄDZ SADOK BARĄCZ.

Pomniki narodowe są jedynym węzłem, który nas łączy z przeszłością naszą. One bogacą nasz umysł i wskazują nam drogę do wytrwałości i postępu. — Te głazy martwe mocno przemawiają za swemi twórcami, którym przedziwne swe formy i kształty zawdzęczają. Te świątynie pańskie ozdobione smukłemi wieżycami, świadczą o wzniosłym duchu Ojców naszych, tam korzy się wdzięczne pokolenie przed Panem zastępów. — Te zamki starożytne, chociaż po największej części w gruzy rozsypane, porosłe dzikiem zielem, ptactwa i płazów siedliska, ażaliż niegodne poszanowania? Ktokolwiek jesteś przychodniu! nie niszcz tych drogocennych szczątków. — To telegrafy przodków naszych, — to strażnice wierne przy drodze, którą posuwały się niszczące zagony ludów azyatyckich. — W tych warowniach oręż polski przytępiał dzikość pohańców, i nie spoczął wprzódy, póki nie poskromił szalone ich zapędy. — Tu Polak idąc w zapasy z narodem srogim krew swą przelał, ażeby zabezpieczyć swobodę rozwoju cywilizacyi ludów europejskich. —

Jednym z tych walecznych mężów był Jan Sieniński, podkomorzy przemyski i starosta sandomirski, któremu w roku 1441 Władysław król polski i węgierski uwzględniając wierne służby i zasługi, jakie w obronie ziem ruskich przeciw Tatarom położył, nadał wieczyście zamek Olesko z miastem i całym powiatem. Na tej rozległej przestrzeni znajdowała się osada lasem sosnowym otoczona, którą ze względu na wielkie moczary Brodami nazywano. Po wygaśnieniu linii męzkiej Sienińskich, przeszły Brody do Kamienieckich, którzy tę majętność prawem dziedzictwa sprzedali Stanisławowi Żółkiewskiemu, wojewodzie bełzkiemu 1580 roku. Czcigodny nabywca uważając, że tamtędy trakt zwykły z Rusi na Podole, Wołyń i z różnych miast ruskich do innych miast Rusi prowadzi, a prócz tego, że ta osada leży na samym przesmyku najazdów tatarskich; przeto gdy kiedy obwarowana będzie, wielu mieszkańcom za przytułek, samym zaś nieprzyjaciołom za zawadę w dalszych postępach służyć może, postanowił w miejscu Ostrów zwanem, zbudować zamek i nowe miasto pod nazwiskiem herbownego klejnotu Lubicz założyć.

Chwalebne te zamiary uprawnił Stefan Batory król polski przywilejem z dnia 22 sierpnia 1584 r. Lecz zamek ten początkowo z drzewa był zbudowany. Równie też i kościół łaciński pod tyt. św. Stanisława nie był z muru wyprowadzony, któremu Mikołaj Żołkiewski podkomorzy lwowski wieś Jazłowczyk zapisał 1594 roku. Nadto dodał dla lepszego uposażenia plebana, folwark z sadzawką małą i dziesięciną dworską z dóbr dziedzicznych. Ale i pamięć nie dochowała się w imieniu przez Żołkiewskiego zamierzona, gdyż mieszkańcy przyzwyczajeni do dawnej nazwy, nowo założone miasto Brodami przezwali. — Już w r. 1598 Anna z Chodorostawu Żołkiewska czyniąc zapis dla Mansyonarzów nie mówi do kościoła w Lubiczy, ale do kościoła brodzkiego św. Stanisława. — Nareszcie wnuk założyciela Łukasz Żołkiewski, wojewoda bracławski, nie mając potomstwa, miasteczko Brody z zamkiem i wsie do niego należące jako to: Brody, Dytkowce, Smólno, Wysocko, Ponikowice, Kadłubiszcze, Hołoskowice, Suchodoły, Berlin, Rudębabin, Koniuszkow, Rude, Bołdury, Bielowiec, Sinarów, Klekotów, Piaski, Wołkowatycze i Nowegroble w roku 1629 Stanisławowi Koniecpolskiemu za 500,000 złp. sprzedał.

Wielce szanowny hetman polny koronny, którego sprawy bohaterskie złotemi literami wpisane zostały w xiędze narodu, zostawszy dziedzicem miasta, natychmiast zajął się pomnożeniem swobody mieszkańców jego, przez zaprowadzenie sądów według prawa magdeburskiego, nadanie pastewnika obszernego i innych znacznych dobrodziejstw. — Miasto zaś same nietylko że rozprzestrzenił, ale też i wałami począł opasywać, a fortecę z muru zakładając, tyle dołożył starania, że wkrótce do rzędu pierwszych wówczas obronnych miejsc w Polsce przyprowadził. — Oceniając słusznie tak szlachetną ofiarę Władysław IV król polski, przywilejem swoim z dnia 11 marca 1633 roku, jarmarki brodzkie porównał z jarmarkami Lublina i Torunia. Nadto rozkazał, żeby trakt z ziem kijowskich i wołyńskich szedł na Brody i żeby z niego kupcy nie zbaczali. — Równie też postanowił w Brodach miasto składowe *emporium seu depositorium* na wszystkie towary, które z Wołynia, Kijowa i Polesia do Polski idą, mianowicie: łój, skóry, miód, len, konopie, sól, saletrę, wełnę, chmiel, ryby, i na te towary, które z Gdańska i Polski, do tych ziem, bądź wodą, bądź lądem prowadzą się.

Odtąd to poczyna się świetna dla Brodów epoka, która pod względem handlowym aż do dni naszych utrzymuje się. — Lecz przezorny dziedzic prócz zysków materyalnych, miał także i duchowe korzyści

miasta na celu. Pragnał on, żeby umysł mieszkańców przy zasobach naukowych rozwinięty, zdołał w każdej chwili pospieszyć na ratunek zagrożonej ludzkości. Tą wzniosłą myślą powodowany, zaprowadził szkoły, osadzając je nauczycielami z akademii krakowskiej 1637 roku. Pracował też nad uposażeniem kanoników i mansyonarzów przy kościele brodzkim, który wymurować zamyślał. Ale człowiek jeden wszystkiemu nie podoła, zwłaszcza gdy siły ustają i zbliżają go do ostatniego kresu ziemskiej pielgrzymki. — Czuł on to dobrze, że zdrowie w posługach rzeczypospolitej mocno nadwerężone, przerwać musi pasmo żywota; dla tego też umierając zobowiązał syna swego Alexandra do wytrwałej pilności w dokonaniu wszystkich dla dobra miasta przedsięwziętych przez niego zamiarów.

W roku tedy 1646 umarł Koniecpolski i w kościele brodzkim z wielką okazałością został pochowany. Następca jego miał najlepsze chęci, ale okoliczności nieprzyjaźne we wszystkiem silne stawiały mu przeszkody. Wkrótce rozbiegła się wiadomość o szkodliwych zamachach naczelnika kozackiego, którym z początku wierzyć nie chciano. Lecz niestety mord i pożoga dziką zemstą dokonana, świadczyły o rzeczywistości wieści rozsiewanych. Rozpoczęła się tedy zapamiętała walka poświęcająca tyle ofiar niewinnych osobistym celom. — Chmielnicki wysławszy Neczaję, Nebabę i Hłowacza pułkowników swoich, aby Dubno i inne posiadłości szlacheckie rabowali, sam gonił za śladem księcia Jeremijego Wiszniowieckiego, w Zbarażu 50 armat odebrał, nareszcie obległ zamek brodzki 1648 roku. Wcale nie spodziewał się tak dzielnego odporu, daremnie podżegał chwilowem szczęściem upojonych mołojców, miasto spalił, zamku jednak zdobyć nie zdołał. Pierwsza ta klęska dla miasta wzrastającego tem dotkliwsza stała się, że natłok szukających ocalenia w twierdzy był powodem znacznego pomoru. — Dla ogółu zaś była ta korzyść, że Chmielnicki obmierził sobie Brody, a zatem śmiało wyprowadzano działa z fortecy, któremi nieprzyjaciela parzono doskonale. Wielką dogodnością była warownia brodzka w pobliżu toczącej się krwawej walki, gdyż tu odsełano znaczniejszych więźniów, — wozy cięższe z przyborem wojennym wracały tu jako do składu bezpiecznego. sam nawet król polski Jan Kazimierz wracając z pamiętnej wyprawy beresteckiej, znalazł tu wypoczynek gościnny 1651 roku. — Nie miał atoli szczęścia Alexander Koniecpolski zająć się troskliwie losem miasta, jak tego sobie życzył, gdyż ciągłe prawie na nieprzyjaciela wyprawy, zabrały mu dużo czasu i nakładu, a nareszcie nagła śmierć, która go w roku 1659 w Podhorcach zaskoczyła, uwolniła go od troski i obowiązku przez ojca na niego włożonego.

Syn Alexandra, Stanisław Koniecpolski odziedziczywszy ogromny majątek, szczególniejszą uwagę zwrócił na Brody. — Kościoł łaciński wymurował i fundusze jego znacznie pomnożył. — Zamek cokolwiek uszkodzony i całą warownię do porządku przyprowadzi. — A była to forteca w kształcie foremnego pięciokątu zbudowana i z trzech stron stawem oblana. Bastyony z cegły, gzymsy zaś i inne do koła ozdoby z ciosowego kamienia były wyprowadzone. — Fosy chociaż wązkie, jednak przekryte bagnami dosyć dobre zadworne okopy stanowiły. Brama z mostem zwodzonym bardzo długim była praktycznie wymurowana. Obszerność fortecy odpowiadała zupełnie wielkości cytadeli w Stenay mieście Lotaryngii, z tą atoli różnicą, że struktura wewnętrzna była daleko okazalsza. Pomieszkania sklepione opierały się na filarach, z których duże okna kratami żelaznemi opatrzone na dziedziniec wychodziły. Na tymże murze ku dziedzińcowi osadzony był balkon na balustradach kamiennych wysokości takiej, że się można było na nim wspierać łokciami patrząc z wału na dziedziniec. Pomiędzy kortynami umieszczono dziesięć schodów na sposób rzymski, które służyły do wejścia i zaprowadzenia dział na wały i bastyony. — Pod bastyonami były pomieszkania przeznaczone dla garnizonu ze stajniami dla konnicy, mające szerokie sklepienia, które się wspierały na jednym tylko słupie z kamienia ciosowego na środku wymurowanym. Na dziedzińcu gdzie było pomieszkanie drewniane dla komendanta fortecy, znajdowała się też piękna studnia, obok której umieszczono arsenał dobrze urządzony i zasłonięty. Tam wężawki, organki, flinty, kule żelazne i szklanne, łańcuchy, kartacze, moździerze, słowem mnoga rozmaitość przyborów wojennych świadczyła o zamożności tych, którzy tę warownię wznieśli i fortyfikowali...

Właśnie ta troskliwa nad miastem opieka to sprawiła, że lud okoliczny z taką ufnością podczas trwogi nieprzyjacielskiej garnął się do tej fortecy i znachodził bezpieczne dla siebie schronienie. Kiedy Turcy całe prawie Podole zawojowali, znaczna część Ormian z obrazem Maryi i kapłanem swoim opuściła Jazłowiec a przyszedłszy do Brodów znalazła gościnne przyjęcie. Przy takim napływie mieszkańców potrzeba było koniecznie pomyśleć o pomnożeniu pracowników duchownych, którzyby światłem ewangelii i chwałą Bożą utrzymać i poświęcenie się dla dobra bliźniego rozniecić zdołali. — W tym celu sprowadził staranny dziedzic Dominikanów 1678 roku, którym w mieście kamienicę Neilanda w posiadłość oddał i 30000 złp. na dobrach swoich zabezpieczył. Rzecz dziwna, że Koniecpolski przy swej szczodrobliwości, przy gorliwem spełnieniu obowiązków przez króla i rzeczpospolitę na siebie włożonych, jednak był nieszczęśliwym. Miał on za sobą Eugenię Katarzynę Wiszniowiecką, córkę księcia Dymitra Wiszniowieckiego, kasztelana krakowskiego i hetmana wielkiego koronnego. Lecz Bóg nie pobłogosławił potomstwem to małżeństwo, a co gorsza, że się oboje serdecznie nienawidzili. Czegoż im nie dostawało? Może majątku nie mieli? Czy zapoznano ich zasługi? Czy też sława i godność ich minęły? Bynajmniej! Bogactwa i dostojeństwa są tylko środkami, rzeczywistego szczęścia stanowić nie mogą. Nie jeden ubogi wyrobnik przy suchym kawałku chleba, obok swej równie biednej ale poczciwej żony jest częstokroć

szczęśliwszej od bogacza opływającego w dostatki i honory.— Oto na łasce Bożej im zbywało, o którą może nie tak, jak należało prosili. Przeto dał im Bóg chociaż przez mgłę tylko poznać, że mogli być szczęśliwymi. — Dziwnem zrządzeniem okoliczności znaleźli się oboje w Podkamieniu na początku roku 1682. Te samotne a posępne mury — ta ponura cisza w świątyni pańskiej przerywana niekiedy błagalnem łkaniem pobożnych pielgrzymów, smętne na nich zrobiły wrażenie. Jakieś tęskne uczucie owładnęło ich dusze tak dalece, że razem przystąpili do spowiedzi świętej, razem komunikowali, nareście wobec cudownego wizerunki Maryi podali sobie przyjaźne dłonie i uczuli tę słodką nadziemską rozkosz, jaką tylko małżeństwo według woli Bożej spełnione człowiekowi zabezpieczyć może. — Lecz radość ta niedługo trwała. W kilka miesięcy rozchorował się śmiertelnie Koniecpolski w Biszczy, młodemu królewiczowi Jakóbowi Sobieskiemu zapisał Brody i rozstał się z tym światem.

Powiadają, że Sobieska królowa, która nieraz bardzo dowcipnie umiała przymówić się o dary dla siebie, gdy zawakowała kasztelania krakowska przystąpiła do Koniecpolskiego i ujęła go za brodę twarzy ręką żart mówiąc: Daj Brody, będziesz kasztelanem krakowskim! Nadstawił brodę, wziął kasztelanią krakowską, ale i miasto Brody oddać musiał. — Lecz to podobno bajka. — Marya Kazimira nie była Polką, nie byłoby więc w tem nic dziwnego, że jako cudzoziemka tak gorliwie krzątała się około zabezpieczenia przyszłości swojej. — Ale odczytawszy z uwagą zapis powyższy, przyznać należy, że Brody raczej sprzedane były, niżeli darowane. — Natychmiast musiano wyliczyć ze skarbu królewskiego do 200.000 złp., a drugie tyle w długach przyjąć.

(*D. c. n.*)

GOLGOTA.

Siedli za stołem, wyrok spisali,
Na krzyżu umrzeć Jemu kazali,
A gdy lud szemrał, rzekli do ludu:
My tak kazali, stróże zakonu,
W imieniu bożnic, w imieniu tronu,
A bez nas nie masz u Boga cudu!

Przy nas, olbrzymach każdy jest karłem,
Nasz wyrok czyni wszystko umarłem;
Rzekli i dumni stoją przed zgrają. —
A tam na krzyżu Syn Boży kona....
Wtem pociemniało, pękła zasłona,
Zbledli sędziowie... umarli wstają! —

-*y*-

Starsza siostra Zygmunta Augusta.

SZKIC HISTORYCZNY.

(Ciąg dalszy.)

Niezmiernie trudne i przykre stało się dalsze położenie młodej Jagiellonki. Obadwaj opiekunowie dziecięcego króla zaraz w pierwszej chwili pochwycili ster rządu w swoje wyłącznie ręce, a królowa wdowa miała zachować tylko czczy tytuł bez wszelkiego wpływu na rządy państwa.

Tymczasem król Ferdynand zaledwie dowiedziawszy się o zgonie Janusza, wyprawił niezwłocznie hrabię Mikołaja Salma w poselstwo do Budzynia, aby przypomnieć Izabelli warunki zawartego przed dwu laty traktatu. Z wielką trudnością mógł poseł rakuzki dobić się posłuchania u samej królowej. Panowie opiekunowie wzbraniali się wpuścić go na zamek, jakoby nie śmiąc przerywać żałobnej samotności królewskiej wdowy. Dopiero na jej wyraźne żądanie skłonili się przyzwolić na posłuchanie w zamku.

Hrabia Salm przywoził propozycye króla Ferdynanda. W moc zawartego z Januszem traktatu domagał się tenże bezwłocznego ustapienia Węgier i Siedmiogrodu, ofiarując w zamian królowej Izabelli miasta Przeszburg i Tyrnawę na siedzibę i obowiązując się płacić jej tak długo po 25000 złr. rocznie, aż dopóki za całą snmę oprawną nie będą jej dobra węgierskie wykupione z zastawu.

Nieodrodna córka słynącego z swej sprawiedliwości i szlachetności Jagiellona nie mogła nie uznawać słuszności pretensyi Ferdynandowych. Nadto widziała aż nazbyt jasno, że choćby najsłuszniejszej broniła sprawy, nie zdołałaby własnemi siły oprzeć się rakuzkiej potędze. Opiekunowie dziecięcia przebąkiwali o pomocy Solimana, ale młoda Jagiellonka pomna na wszystkie klęski i nieszczęścia, jakie jej polskiej ojczyźnie tylekrotnie bisurmańska zadała dłoń, wzdrygała się na samą myśl przyszłej pogańskiej pomocy i opieki.

Toż ulegając własnym szlachetnym popędom i z odrazy do przymierza z Solimanem skłaniała się Izabella przyjąć warunki rakuskiego pretendenta. Lecz za trudne miała młoda królowa stanowisko w obec opiekunów syna i możnych rad węgierskich. Oparli się wszyscy jej postanowieniu z jak największą stanowczością. Szczególniej zaś powstał na to pierwszy opiekun królewica, chytry i przebiegły Martinuzzi, zwany także Jerzym Mnichem.

— Nigdy — wykrzyknął — nie pozwolę na krzywdę poruczonego mi w opiekę dziecięcia. Traktat z Ferdynandem nie obowiązuje nikogo. Nie był on nigdy ogłoszonym publicznie, a król Jannsz nie miał prawa zawierać go bez przyzwolenia rad, nie miał prawa ogołacać z korony własnego syna i oddawać ojczyznę pod panowanie cudzoziemców. Jan Zygmunt jest i będzie obranym królem węgierskim!

Mimo wrodzonej niepospolitej siły charakteru nie mogła młoda wdowa przełamać uporu magnatów i pójść za popędem własnej woli. Z bolem serca wbrew własnemu przekonania musiała dać odmowną odpowiedź posłowi Ferdynanda i wystąpić otwarcie w obronie praw syna, którego

*

panowie węgierscy jednocześnie z ogłoszeniem zgonu Janusza okrzyknęli już wybranym królem węgierskim.

Hrabia Salm opuścił Budzyń wypowiadając wojnę królowej, która w obec zbliżających się zawikłań politycznych zupełnie już musiała poddać się woli swoich rad i opiekunów synowskich.

Król Ferdynand nadspodziewanie prędko ukończył przygotowania wojenne i jeszcze tegosamego roku wysłał pod wodzą tyrolskiego barona Fels znaczną armią do Węgier. Równocześnie także wyprawił posła barona Zygmunta z Herbersztyna, znakomitego później kronikarza, do polskiego ojca królowej Izabelli z prośbą, aby król Zygmunt zechciał pośredniczyć w tej sprawie i powagą swoją wymógł na Izabelli dotrzymanie traktatu, przez co oszczędziłby rozlewu krwi chrześciańskiej i zapobiegł zbrojnemu wmieszaniu się Turków.

Nie wiedząc o tym kroku przeciwnika wpadli na podobną myśl także magnaci węgierscy. Pod przewodnictwem samego pierwszego opiekuna Jerzego Martinuzzego wybrało się świetne poselstwo do Krakowa zawezwać pośrednictwa mądrego Zygmunta w sporze z austryackim pretendentem.

Tak więc Zygmunt Stary ujrzał się rozejmcą obudwu stron powaśnionych, co wcale niełatwem było zadaniem, boć jak pisze współczesna kronika polska „król Zygmunt na obie strony patrzył, na Ferdynanda i na córkę swą: jednak jednego żądał, to jest pokoju.

Kiedy poselstwo węgierskie siliło się w Krakowie wpływ i powagę Zygmunta na swoją przyciągnąć stronę, pogorszyło się tymczasem niezmiernie położenie dziecięcego króla. Kilku możnych panów węgierskich, a między tymi sam Piotr Pereny, niedawny przyjaciel i dziewosłęb króla Janusza przeszło otwarcie do obozu Ferdynanda, i pociągnęło za sobą liczny tłum mniej znaczących adherentów. Nadto ledwie co ukorzony Majlath podniósł na nowo sztandar rokoszu i rozszerzając zarazem niebezpieczną pogłoskę, że król Janusz umarł bezpotomnie a okrzyknięte królem dziecię jest tylko podrzucone, aby zasłonić i poprzeć ambitne zamiary królewskiej wdowy i połączonych z nią magnatów.

Wojna domowa zawrzała napowrót w Siedmiogrodzie. Drugi opiekun królewski Petrowicz poruszył znaczne siły, aby przytłumić niebezpieczny bunt, nim w większe urośnie rozmiary.

Śród tego z każdą chwilą groźniejszego zamętu domowego nadeszła do Budzynia wiadomość, że wojska austryackie zajęły ważne miasta Biało- i Wyszogród. Cała nadzieja zagrożonej ze wszystkich stron królowej spoczęła teraz jedynie w spodziewanem pośrednictwie króla Zygmunta. Magnaci węgierscy mieli jeszcze inną myśl w odwodzie. Na wypadek gdyby poselstwo do Polski pożądanych nie przyniosło owoców pokładali nadzieję w pomocy tureckiej. Potężny Soliman dzierżył ciągle berło a po dawnym przyjacielu i sprzymierzeńcu króla Janusza można się było spodziewać pomocy dla jego wyzuwanego z korony syna.

Sprawiedliwy i miłujący pokój Zygmunt nie mógł zadowolić węgierskich wysłańców. Nie odmawiał wprawdzie swego pośrednictwa rozjemczego, nie obowiązywał się jednak popierać orężem sprawę potomka Januszowego, jużto że dla widoków czysto familijnych nie chciał polską ojczyznę wplątać w wojnę z dotychczasowem sprzymierzeńcem, już że pretensye Ferdynanda wydały mu się słusznemi na podstawie zawartego przed dwu laty traktatu.

Magnatom węgierskim pozostawał tylko środek ostatni — przyzwanie pomocy bisurmańskiej. Przynagleni zwycięzkiem zbliżaniem się wojsk rakuzkich, uciekli się też do tego środka zaraz po powrocie z Krakowa.

O uszy Solimana odbiła się jednak wiadomość rozsiewana przez Majlatha, toż zamiast z bezzwłoczną pospieszyć pomocą, ustanowił naprzód wysłać jednego z swych poufników do Budzynia, by sprawdzić na miejscu, czy okrzyknięte królem dziecię jest rzeczywiście potomkiem zgasłego Jerzego.

Kiedy wysłaniec sułtański pospieszał do Budzynia nie ustawało wojsko austryackie w swych zwycięzkich postępach i rozparło się już pod samą stolicą. Huk dział obijał się o mury królewskiego zamku i budził ze snu samego dziecięcego króla.

W tym właśnie czasie przybył do Budzynia basza sułtański i domagał się niezwłocznego posłuchania na zamku.

(C. d. n.)

CZAS, dodatek miesięczny za miesiąc Lipiec.

Po dłuższej przerwie pojawił się dodatek miesięczny w swojej dawnej postaci, w jakiej nawet już ostatnich kilka zeszytów nie wyszło, t. j. z „Przeglądem piśmiennictwa p. Lucyana Siemińskiego i artykułem politycznym p. Maurycego Manna.

Tego rodzaju przerwy i chwilowe zmiany w wydawaniu pism są dla tychże tem, czem n. p. zmiany lub przerwy stosunków dyplomatycznych bywają dla mocarstw.

Opinia wyciąga rozmaite ztąd wnioski o zmianach w składzie redakcyi, kierunku pisma i innych, podobnie jak ze zmian stosunków dyplomatycznych wnioskujemy o blizkich wybuchach wojny, o przymierzach między mocarstwami zrywającemi wspólnie stosunki przeciw temu, z którym je zrywają — a nawet niestety w nowszych czasach przyzwyczaiła się opinia wnioskować ztąd dalej o bliższem lub dalszem rozbiciu pewnych państw a tworzeniu się nowych. Niedziwnaż więc, jeżeli przyzwyczajona do takich wniosków opinia stosuje i do mniejszych rzeczy, do pism czasowych, swoje zapatrywanie się.

Tak z przerwy w wydawaniu dodatku do Czasu wnioskowano, iż może wychodzić przestanie, z braku pewnych artykułów wnioskowano o zmianach w składzie redakcyi— gdy tymczasem nastąpiła restauracya i zapowiedziano nawet wynagrodzenie brakujących zeszytów, niby powrót do dawnej konstytucyi.

Jestto jedna z bardzo niewielu restauracyi na świecie którejśmy sobie życzyli. Życzylibyśmy jeszcze tylko dodatkowi zupełniejszej restauracyi w rubryce korespondencyi zamieszczanych pod tytułem **Kronika**, która bywała zwykle dosyć, czasem jedynie, zajmującym artykułem z całego dodatku.

Niniejszy zeszyt zawiera bardzo ciekawą, z wielką erudycyą, a przecież nie oschle napisaną rozprawę p. Zyg. Węclowskiego „O komedyi greckiej i Arystofanesie.“ Pisząc o komedyi greckiej trzeba nietylko pisać koniecznie o tym patryarsze komedyo-pisarstwa, ale nawet nie można pisać o kim innym. Arystofanes bowiem jest jedynym z greckich komedyo-pisarzy, którego dzieła dochowały się aż do naszych czasów.

Pan Węclowski podał nam wiadomość o początkach i rozwoju komedyi greckiej i o zaginionych komedyopisarzach. Jest to więc kawałek dziejów piśmiennictwa greckiego. —

Wspomniawszy zaś o dziejach piśmiennictwa greckiego musimy się dopuścić małego zboczenia od przedmiotu. Dziejów piśmiennictwa greckiego nie posiadamy. Wielka takiej książki pożyteczność nie ulega dziś żadnej wątpliwości, a nawet będzie jej potrzeba, jeżeli się na to rzeczywiście zanosi, gdy tylekrotne przyrzeczenia o zaprowadzeniu polskiego języka w szkołach staną się czynem.

Mamy między pisarzami naszymi hellenistów, jak Bronikowski, Małecki, Siemieński, Węclowski, z których każdy byłby w stanie jeżeli nie całą, to pewną część dziejów piśmiennictwa greckiego obrobić gruntownie. Nie wątpimy, że mężowie ci podjęliby się chętnie tej pracy, gdyby mieli jaką taką pewność, że książka nie będzie skazaną na zaleganie półek księgarskich i wykluczoną ze szkół, jakito los już niejedną polską naukową książkę spotkał z powodów bardzo błahych a często nikczemnych.

Wracając do rozprawy p. Węclowskiego poczytujemy za niemałą zaletę tejże wskazanie stanowiska, jakie zajmowała komedya grecka w życiu publicznem, a mianowicie jakie zajmował Arystofanes. Komedya (a nawet poniekąd i tragedya) zastępowała Grekom w znacznej części naszą dzisiejszą publicystykę. W ogóle, co się dzisiaj zdziaływa słowem pisanem, to w owych czasach uskuteczniało słowo głoszone na scenie i z trybuny. Dramaturgia, a zwłaszcza komedya, i wymowa były potęgami politycznemi. Ztąd urosło wielkie znaczenie Arystofanesa.

Komedya starożytna nie gubi się w wyśmiewaniu drobnostek, intryg i intryżek domowych, przypadków i przypadeczków, to są w niej przybory podrzędne, służące jedynie do uwydatnienia tej idealnej excentrycznej śmieszności wielkich spraw i wielkich charakterów, jakie bywają przedmiotem komedyi arystofanowej. „Główną dążnością Arystofanowej komedyi, pisze pan Węclowski, jest przedrzeźnianie formy rządu.“ Gdzieindziej mówi autor o komedyi w ogóle: „chwyta wszystkie objawy rzeczywistego życia najwznioślejsze i najpodlejsze, uważając je za przedmiot, którym swawolnie bawić się można. Bogowie, rząd, lud, wodzowie, zgoła wszystko to się zeszło i zespoliło, jak w rzeczywistości.“

Arystofanes wyśmiewa w jednej komedyi (Chmurach czyli Obłokach jak chce p. Węclowski) oczewiście Sokratesa. Wprowadza go żywcem na scenę i najnielitościwiej przedrzeźnia wzniosłość jego nauki. Arystofanes wydał się z tego powodu wielu krytykom płaskim, wstecznym i tylko złośliwością celującym komikiem, który pragnie wszelką wyższość pokalać błotem oszczerstwa i wyszydzenia. Lecz to osądzenie Arystofanesa jest niesłuszne, tak sądzą ci, którzy przyzwyczajeni widzieć dzisiaj zaśmiecającą nasze dziennikarstwo polemikę brudu i paszkwilu. Arystofanes wyśmiał w tej komedyi właściwie stosowanie mądrości Sokratesowej do spraw życia powszedniego. Czyż nie śmielibyśmy się dziś, gdyby do którego z filozofów naszych udał się poczciwy gospodarz z prośbą, by go nauczył, jak się uwolnić od długów? Że Sokrates wdaje się w tę naukę i w sposób wielce go poniżający, to jest niedorzecznością rozśmieszającą, a przypisywanie jej w komedyi Sokratesowi było zuchwalstwem, ale właśnie ta kolosalna śmieszność Sokratesa odbija tak dalece od wzniosłej powagi jego charakteru, że nie można autorowi nawet przypisywać, iżby chciał tym sposobem niszczyć wpływ jego. Wydaje nam się raczej to jednym z wyskoków swawoli komedyopisarza, o której tak się trafnie wyraża Węclowski: „Wszędzie te cudowne utwory wrą i kipią bachantyczną swawolą; ona, natchniona, uświęca wszystko, choć na pozór nie ma dla niej nic świętego i nie dozwala przypuścić, jakoby na bogów i na samego Bakchosa, którego bóstwo właśnie uroczyście święcą, śmiertelnicy zbrodniczo się targali i ono poniewierali.“ Owszem występuje tem większym taki Sokrates wystawiony w rzeczy drobnej na śmiech. Wyobraźmy sobie, gdyby kto np. wystawił Napoleona jako uczącego jeździć na koniu, dlatego że większa część życia na koniu przepędził a przecie źle jeździł, i stosującego do tej sztuki zasady strategii i polityki. Czyby nas to nie rozśmieszyło, a czy wielkość jego straciłaby na tem?

W innych komedyach zaprowadzają niewiasty z rządów niezadowolone rząd niewieści i uchwalają wspólność żon i dóbr; jest to właściwie wystawienie na śmiech zepsucia obyczajów niewieścich; gdzieindziej uderza na pieniactwo i złe sądownictwo, na wzmagającą się ochlokracyę, to znowu na oligarchyę.

Dziś tego rodzaju komedya, bez najmniejszej miłostki lub intrygi, komedya chłoszcząca stosunki publiczne, wystawiająca słabe strony różnych instytucyi nie znalazłaby ocenienia; trzecia część publiczności usnęłaby w czasie przedstawienia pomimo iskrzącego dowcipu, druga trzecia uciekłaby z teatru, a trzecia rzuciłaby się na autora i aktorów z wściekłością, by ich „ubezwładnić“ do podobnego rodzaju przedstawień. Warto zaiste w takim stanie oświaty i życia publicznego, na jakim stoimy, warto przypomnieć czem komedya była a czem nie jest. Zupełnie jak dzisiaj publicystyka, tak w owych czasach komedya była swobodniejszą im swobodniejsze było życie publiczne, wpływała na nią przewaga tych lub owych stronnictw w rządzie, najwyuzdańszą się stała w czasie rozprzężenia społecznego, a gdy absolutyzm pochłonął życie publiczne, zeszła i komedya do cichych komnat domowych, zaczęła życie prywatne swem żądłem zaczepiać. Miłość i intryga stała się sprężyną poruszającą komedyi greckiej na ostatnim, najniższym szczeblu jej wstecznego rozwoju. Tak przeszła do Rzymian, i któżby myślał, że my jesteśmy dziedzicami nie owej najświetniejszej lecz tej podupadłej komedyi. Zdaje się, że u nas rozwój komedyi idzie odwrotnym kierunkiem tj. od najniższego do wyższego coraz stopnia. Pocieszajmy się tą nadzieją, chociaż jej ziszczenia jeszcze nie widać.

Dalej zawiera dodatek dokończenie artykułu Szczęsnego Morawskiego pod t. Malarstwo dziejowe polskie. Wiadomo nam z poprzednich zeszytów, że autor nie miał bynajmniej pisać o tym przedmiocie jako krytyk artystyczny, jako dziejopisarz sztuki ani nawet jako technik, podaje on tylko szereg tematów dziejowych, które mają służyć malarzom za przedmioty do obrazów historycznych. Dowodzi ta rozprawa niemałej znajomości szczegółów z dziejów Polski.

Pomniki z piastowskich czasów, z tajnego watykańskiego archiwum zawierają tekst oryginalny i tłumaczenie polskie trzech dokumentów z XIV wieku.

1. List apostolski papieża Jana XXII do Polaków z r. 1325. Jest to nadanie zupełnego odpustu wszystkim Polakom, którzy w walkach przeciw szyzmatykom lub poganom polegli lub rany ponieśli i wskutek tychże później pomarli. Odpust ten trwał przez trzy lata.

2. List obywateli krakowskich do papieża Benedykta XII pisany w r. 1338, w którym obywatele ci tłumaczą się, że nie wypłacili w czasie i miejscu naznaczonym pieniędzy obiecanych dworowi rzymskiemu, oznajmiając, że je właśnie wysłali i prosząc o przewłokę do wypłaty innych jeszcze obowiązkowych danin, uwiadamiają dalej o założeniu kaplicy na smętarzu Panny Maryi przez Mikołaja Wierzynka i proszą o dwieście dni odpustu dla odwiedzających tę kaplicę w pewne święta.

3. List papieża Benedykta XII do biskupa krakowskiego w sprawie Pełki z Zochowa w r. 1341.

Rubryka poezyi zasobniejsza w tym zeszycie niż zwykła bywać w dodatku: J. K. Turskiego: Poezye podsłuchane u ludu niektóre mają prawdziwą wartość artystyczną, mianowicie Skaranie Boże i Panna święta-opiekunka. Następuje Wł. Chomitowskiego Łucya z Bolonii, legenda, i Krystyna Ostrowskiego wyjątek z dramatu Alfreda de Vigny: Czatterton. Zdaje się, że p. Ostrowski, który już kilkakrotnie występował w Dodatku z poezyami, trafił teraz na właściwsze sobie pole. Prozą pisany oryginał niewiele stracił ze swego pierwotnego uroku w przekładzie wierszem białym p. Ostrowskiego, chociaż gdzie nie-gdzie ze szkodą poprawności języka. Dramat ten znany z przekładu A. Korzeniowskiego dziwnie przypadł znać do smaku niektórym pisarzom naszym. Czy los Czattertona miałby jakie podobieństwo mieć z losem naszych poetów, czy też charakter jego chorobliwy i wcale nie noszący na sobie cechy wielkości zaimponował tłumaczom? Wątpimy radzi o jednem i o drugiem i przypisujemy to rozmiłowanie się w Czattertonie raczej uwielbieniu dla autora, który rzeczywiście na nie zasłużył, ale bardziej innemi dziełami niż właśnie tym dramatem.

W Przeglądzie piśmiennictwa zdaje znakomity nasz krytyk sprawę o dwóch niepospolitych dziejowych publikacyach, ozdobionych imionami Szajnochy i Helcla. Sprawozdanie to nosi tytuł Jan Sobieski. W lipcowym zeszycie zamieszczona pierwsza jego część opiewa o dziele Szajnochy najnowszem; Opowiadania o królu Janie. Skromny krytyk zeszedłszy tu do skromnej roli sprawozdawcy, poprzedza swoje, jak je nazwał „kontury tego wspaniałego obrazu“ króciuchnym wstępem, jakoby usprawiedliwiającym tę jego skromność. I słusznie, należało się czytelnikowi wyjaśnienie: dlaczego krytyk taki jak Siemieński opuszcza kurulskie krzesło swoje i staje w rzędzie pospolitych sprawozdawców. W tym wstępie samym okazuje się, że podołałby tak ważnemu zadaniu, jakiem jest krytyka dzieła historycznego, jeżeli nie pod innym, to przynajmniej pod względem dziejowego stanowiska, jakie król-bohater zajmował w dziejach narodu, a razem z narodem w dziejach rodu ludzkiego. A bez tego pojmowania rzeczy chromieje najuczeńsza krytyka historyi, najkrytyczniejsza historya. Sama jednakże wielkość przedmiotu, sama doskonałość dzieła, z którym chce czytelnika obznajomić, nareszcie i własna krytyka doskonałość w odkonturowaniu tego wspaniałego obrazu uwalnia p. Siemieńskiego od wymagań, jakie zwykliśmy miewać do krytyki dzieł historycznych. Że krytyka taka byłaby zbyteczną, tego dostateczną jest dla nas rękojmią orzeczenie Siemieńskiego „że to jest najznamienitszy utwor, jaki się w tych czasach, na ozdobę literatury naszej pojawił. Zasługuje on, aby w ręku był wszystkich, jak niegdyś żywoty Plutarcha.“

Z upragnieniem czekamy, razem z krytykiem, dalszego ciągu o powieści Szajnochy, a nie z mniejszem też prawie upragnieniem oczekujemy od krytyka sprawozdania o listach Jana Sobieskiego wydanych w Roczniku Ordynacyi Myszkowskich p. A. Z. Helela.

P. Maurycy Mann napisał: Kilka słów z powodu wypadków syryjskich. Zbija on dowodnie w tym artykule przesąd niektórych polityków, jakoby niedawna rzeź druzijsko-maronicka pochodziła z rozległego sprzysiężenia łączącego wszystkich azyatyckich izlamitów od Indyi wschodnich aż do śródziemnego i czarnego morza na zgubę chrześcian. Humorysta, gdyby się godziło rzecz tak ważną a tak niestety krwawą traktować humorystycznie, mógłby artykuł p. Manna wystawić jako zdradliwą obronę izlamitów. Pan Mann broni ich od zarzutu tak rozgłęzionego spisku, nie przypisuje im tak zmyślnych knowań, by dowieść, że przyczyna tej nienawiści wybuchającej w najdzikszy sposób to w Indyach, to w Arabii, to Syryi tkwi głębiej, bo w samej wierze, w religii ich i w księgach Koranu.

Zgadzamy się z nim zupełnie, bo przypisywać te rzeczy spiskom byłoby to samo, co powtarzające się w różnych czasach i krajach wojny społeczne (chłopskie lub p.) przypisywać podobnie rozgałęzionemu spiskowi najniższych warstw społeczeństwa. Wiadomo przecież, że te spiski knuje społeczeństwo samo, t. j. wynikają one z rozwoju jego stosunków, z chorób społecznych wybuchających od czasu do czasu gwałtownie, dopóki nie zostaną wyleczone.

Podobnąż chorobą jest Islanizm. Jakież na to lekarstwo? Że nie są niem dyplomatyczne transakcye na to zupełna zgoda. Lecz na doraźny środek p. Manna zgadzamy się tylko, wyznajemy to szczerze „*ob rationes politicas*“ nie z zasady. P. Mann zakończa bardzo stanowczą apostrofą do Islamitów:

„Weszliście do Europy jako zwycięzcy, wyjdźcie jako zwyciężeni!“

Trochę to nie po chrześcijańsku, bo siłą wiary powinno chrześcijaństwo zwyciężać, ale w obecnej chwili najpewniejszy środek zapewnienia może i nam lepszej przy

szłości; a polityka jest narodowem samolubstwem, które dziś jeszcze i niechrześcijańskość wojen exterminacyjnych usprawiedliwia.

W kronice jest tylko korespondencya z Paryża o pogrzebie księcia Hieronima. Gazetka literacka z Lipca rozumie się, że w Październiku przestała być nową.

Dramat polski w ostatniem pięcioleciu.

III.

Repertoar sceny lwowskiej i krakowskiej.

(Dokończenie.)

Tutaj również wymieniłem około 110 sztuk napisanych przez nowo pojawiających się pisarzy scenicznych. Ci więc, tyle samo w pięciu latach napisali, co w tymże czasie nakreślili pisarze już dawniej pracujący na polu dramatycznem. Tych i tamtych utwory, wzięte w połączeniu z dziełmi pisarzy dwudziestu, których wymieniłem jako najobfitszych, dojdą niemal ilości 500 dzieł scenicznych, przeznaczonych do zamieszczenia na repertoarach scen polskich.

Cóż dopiero mówić o bezimiennych utworach, temi czasy nadesłanych na konkursa do Warszawy? Zapewne, że między niemi może trzy czwarte były niedorzecznemi potworami a nie utworami, ale nie wątpię, że czwarta część mogłaby ukazać się na widowni.

Wykazawszy dostatecznie, że mamy i piszących i sztuki, wykazałem tem samem, że możemy mieć repertoar wcale dobrany. — Przemawiając za przeobrażeniem repertoaru, nie przemawiam za usunięciem całkowitem sztuk obcych, ale za pozbawieniem ich przewagi. Nie idzie o to, aby mierne kompozycye naszych pisarzy popierać dla tego, że to są nasi oryginalni pisarze — bo w sztuce, uwzględnia się głównie i bezwzględnie wartość artystyczna, ale idzie o zastąpienie tłumaczeń złych, przestarzałych, od wielu lat ogranych, jakich pojawia się rocznie dość wiele, pracami oryginalnemi choć może nie świetnemi pod względem pomysłu i wykonania, ale odpowiadającemi o tyle warunkom scenicznym, że najkorzystniej mogą być użyte w miejsce wyrzuconych sztuk obcych z repertoaru. O pozbyciu się tłumaczeń dobrych, mowy być nie może. Przeciwnie, sztuki *Sandów*, *Skribego*, *Legouvego*, *Feuilleta*, *Augiera*, *Hakländera*, *Benediksa*, *Gutzkowa* i innych tegoczesnych pisarzy, choć nieraz wewnętrzną wartością swoją, nie zaimponują słuchaczowi, atoli zazwyczaj wyżej stoją od naszych dzieł oryginalnych pod względem zręczności dyalogu, uscenizowania powieści, rozprowadzenia i utrzymania interesu. Takie sztuki, są koniecznie potrzebne dla sceny, tak ze względów korzyści materyalnych, i ze względów na publiczność, która lubi podobne dzieła, jako też przez sam wzgląd na naszych pisarzy scenicznych, którzy mogą nie jedno nauczyć się praktycznie od postronnych pisarzy, mających więcej wprawy i biegłości w dramatyzowaniu.

Niechaj więc wyborowe utwory sceniczne obce, dzielą władzę na scenie z dziełmi naszych pisarzy, — ale niechaj dla obcych dzieł, nie będą oryginalne pomijane. Jeżeli to się stanie, to będziemy wtedy widzieć na scenie, *wszystkie* dzieła *Józ. Korzeniowskiego* a nie połowę ich, oglądać będziemy dzieła *Majeranowskiego*, *Skarbka*, *Górczyńskiego*, *Korzeniowskiego Apollona*, *Józ. Szujskiego* i tych wszystkich nowych pisarzy, którzy zachęceni przeobrażeniem się repertoarów polskich, uznając, iż już warto jest pisać dla sceny, przerwą milczenie dotychczasowe.

Na tem możnaby zakończyć rzecz o dramacie tegoczesnym u nas, nie wyczerpawszy przedmiotu tego. Chcąc wyczerpać, trzebaby mówić jeszcze o przekładach arcydzieł jak n. p. przekłady Szekspira dokonane przez *Paszkowskiego Koźmiana*, *Pajgerta*, *Komorowskiego*, przekłady *Kalderona* przez *Balińskiego i Budzyńskiego*, przekłady *Czattertona* przez *Ostrowskiego i Korzeniowskiego*, *Korregia* przez *Budzyńskiego*, *Szermierza z Ravenny* i t. d. Możnaby nakoniec powiedzieć o sztukach drukowanych przerabianych, i wydanych bezimiennie, które tym razem nie wzięto w rachubę, a których jest kilkadziesiąt.

Z tych prac możnaby nie jedno wybrać dzieło sceniczne wyborne jak n. p. *Korregio*, *Czatterton*, *Szermierz z Ryvenny* które kwalifikowałoby się na każdą scenę, a przypomniałoby epokę sławy artystów, w której nie dramata francuzkie, ale tragedya była kamieniem probierczym ich talentu. — *Koryolan*, *Gliński*, *Juez deCastro i Bayard* i t. d. były to tragedye, na których zaprawiano się do akcyi i deklamacyi— dzisiaj francuzki dramat pochłonął wszystko, dla tego trudno jest o artystę, któryby umiał znośnie wiersz wygłosić, któryby umiał w tragicznej roli z godnością i powagą wystąpić. Mamy tylko dwóch artystów, których gra okazuje, z jakiej szkoły oni wyszli, —gdy ci się usuną, któż ich zastąpi?

Rozprawka ta, jak sam tytuł wskazuje miała wyłącznie za cel, wykazanie wszystkiego, cokolwiek ukazało się w dziedzinie dramatu w tem pięciuleciu, mimochodem musiano potrącić i o repertoar sceniczny jako w związku będący z przedmiotem.

Nie jest to pierwszy głos ani ostatni, już *Meciszewski* przed laty 30 pisał o potrzebie zreformowania polskiego repertoaru, pisała też o tem *Gazeta Poznańska* w r. 1845, mówiły *Nowiny* r. 1854 — 5, kilkakrotnie odzywały się o tem niemal wszystkie gazety warszawskie, nawet w r. b. ostatnie, odzywając się do warszawskiej sceny. — Wymieniłem tu zarówno ramoty, jako i dzieła mające wartość, nie dla tego, aby je narzucać któremukolwiek repertoarowi, bo w wymienieniu tem nie układałem repertoaru, ale podawałem obraz rozwoju dramatu w Polsce.— Owszem, kilkakrotnie pisałem iż możnaby tylko wybór uczynić, i że tłumaczenia dzieł scenicznych obcych nie mogą być wykluczane. Tymczasem podobało się *dzien. lit.* w nr, 85 wystąpić z zarzutem, iż wymieniono tu poczet sztuk, których na scenie lwowskiej nie grano, i że wystąpiono przeciw scenie lwowskiej, że zaniedbuje literaturę dramatyczną. Zdaje się, że nie zrozumiano mnie, bo nie wyłącznie o jednej scenie, ale w ogóle o repertoarach wszystkich scen polskich mó-

wiłem nie wymieniałem tych sztuk, których na scenie lwowskiej nie grano, tylko wymieniłem sztuki, jakie tylko napisane zostały w tem pięciuleciu, bez myśli narzucania ich któremukolwiek repertoarowi, bo wiem bardzo dobrze, iż wiele z nich, nie są godne sceny. Dla dokładności jednak wykazu, nie można ich było pomijać, zwłaszcza, że i to dobrze wiedzieć, w jakim stosunku wychodzą sztuki mierne i dobre. Gdy więc nigdzie nie powiedziano, iżby wszystkich spisanych *dramatoskrybów* należało na scenę wyprowadzać, i gdy przeciwnie, ciągle była mowa, iż należy w zbiorze wykazanym, tylko wybór dobrych dzieł a niegranych jeszcze, uczynić (jak u. p. *Halszka Szujskiego. Dzierżanowski. Po naszemu We dworku. Komedyą* A. Korzeniowskiego) *Dla miłego grosza. Wiesław. Salomon. Sędziwój. Lekarz domowy* i t. d.), przeto i zakończenie szydercze artykułu nie było właściwem, zwłaszcza, że w rzeczach naukowych lepiej porozumieć się wzajem, i szanować zdanie przeciwnie, niżeli uszczypliwemi słowy zastępować rozumowanie.

L. R.

BATALIA pod KALISZEM.

1 Listopada 1706.

Największe klęski sprowadzają narodowi wewnętrzne zamieszki, gospodarstwa wrogów w własnym domu. Niejednokrotnie nawiedzały też podobne klęski naszą ojczyznę— a każdą razą poprowadziły ją o jeden krok bliżej nad przepaść jej wielkiego, największego nieszczęścia.... Oto mamy przed sobą epokę ułożoną z takich dziwnie uczucie nasze rażących obrazów, epokę grzesznego samobójstwa. Nie jest to powiedzenie czczym wyrazem. Udowodnia je niech tylko następny przykład.

Było to w czasie kończenia układów altranstadzkich. Pożądał ich gorąco dbały o swoją saską ojcowiznę August II. Tymczasem rozwijał się w Rzeczypospolitej polskiej co raz groźniej duch rozdwojenia, owszem doszedł ostatecznego kresu. Nie mogąc się wzajem pokonać, zawołała jedna część Polaków na pomoc czekającą tylko tego Moskwę — druga chroniła się pod opiekę szwedzką. Obie partye gnębiły się wzajem jak najzacięciej. Przykładem takiej haniebnej prawdziwie zawziętości daje nam batalia kaliska. Nie pragnął jej zgoła August II wyglądający wieści o pokoju. Zmusili go do niej sami Polacy. Sławny wówczas Śmigielski zagroził nawet królowi, iż wrazie niewydania bitwy obróci pomoc polską i rossyjską na Sasów. Zniewolony August rozkazał rankiem dnia „Wszystkich Świętych" otrąbić w obozie hasło bitwy.

Stanęły też wkrótce wojska w szyku bojowym. Centrum obóch obozów stanowili cudzoziemcy. Z jednej strony August II na czele Sasów i Moskali — naprzeciw Szwedzi pod generał-majorem Crassau i Marderfeldem. Nieskończenie przeważniejsze siły posiadał król August. Jego naczelnemu dowództwu podlegali dwaj walni hetmani Moskal Menżyków i Sas Brandt, z podwładnymi jenerałami Phlugem i Bauerem, Rohlandtem i Schulenburgiem. Dopiero skrzydła obuch linii bojowych zajmowali Polacy. Po lewej ręce króla Augusta znajdował się hetman w. kor. Sieniawski naprzeciw wojewody kijowskiego, Józefa Potockiego — po prawej srożył się przeciw aliantowi szwedzkiemu, M. Potockiemu pisarzowi w. k. hetman polny koronny Stanisław Rzewuski.

Owoż sam początek bitwy nie zdawał się sprzyjać Augustowi. Przed natarciem Szwedów pierzchnęli Moskale w nieładzie i zachwiały się szyki saskie. Ujrzawssy to kniaź Menżyków kazał Moskwie zsiąść z koni i zmusił ich tak do wytrwania. Tymczasem wrzał zacięty bój po skrzydłach. Wielkiego serca kobiety, wojewodzina kijowska i pisarzowa koronna dosiadły także koni, i jeżdżąc między szeregami zagrzewały żołnierstwo do boju, rozdawały im amunicyą. „Lecz" — powiada spółczesny historyk — „niewiele pomogło damskie szczęście". Szwedzi ponieśli całkowitą klęskę. Zegnane z pola uchodziły niedobitki szwedzkie w lasek pod Kościelną wsią, gdzie wypadłszy na nich Kałumcy z zasadzki sprawili ogromną rzeź. Podobnemu losowi uległy roty pisarza Potockiego. A iż dopiero późnym wieczorem rozstrzygnął się ostatecznie los bitwy, nie wiedzący o przegranej wojewoda kijowski wrócił po odparciu hetmana Sieniawskiego do namiotów. Wtem obstępuje go jenerał Brandt i wzywa do poddania. Zaskoczony z nienacka wojewoda postanowił bronić się walecznie. Wkrótce jednak uwiadomiony o klęsce swych sprzymierzeńców, przyjął Potocki podane mu przez Brandta warunki. Na mocy tych miał on nazajutrz wraz z pozostałemi mu 40 chorągwiami bez wszelakiego naruszenia zostać wolnym. Ależ stało się całkiem inaczej. Wojewoda został wraz z wszystkiem rycerstwem swem rozbrojony i obdarty do koszuli. A ileż tam niepopełniono bezprawiów! Ileż to lamentów nie szerzą spółcześni na saskie i moskiewskie rabunki, ileż skarg na nieczułość Augusta! Wkrótce zaś, gdy August pomimo zwycięztwa przystąpił do pokoju altranstadzkiego i złożył polską koronę, rozpoczęli Szwedzi na nowo mściwy rachunek z dawnymi aliantami saskimi. I zwiększył się tylko lament skarg i narzekań spowodowany nierządem kraju, niezgodą wewnętrzną.

B. K.

☞ Artykuł o śmierci księdza Sierocińskiego i jego towarzyszach musieliśmy wyrzucić z nakazu władzy drukowej. — Dlatego spóźniło się wydanie numeru.

Z dzisiejszym numerem rozsełamy ostatnie dwa arkusze powieści Czarny Matwij. Okładki damy przy następującym.

Wydawcy i dpowiedzialni Redaktorowie: *Jan Zacharjasiewicz, Alexander Szedler.* Z drukarni E. Winiarza.